Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. **No. 43.** Leszno, *dnia 20. Kwietnia* 1844.

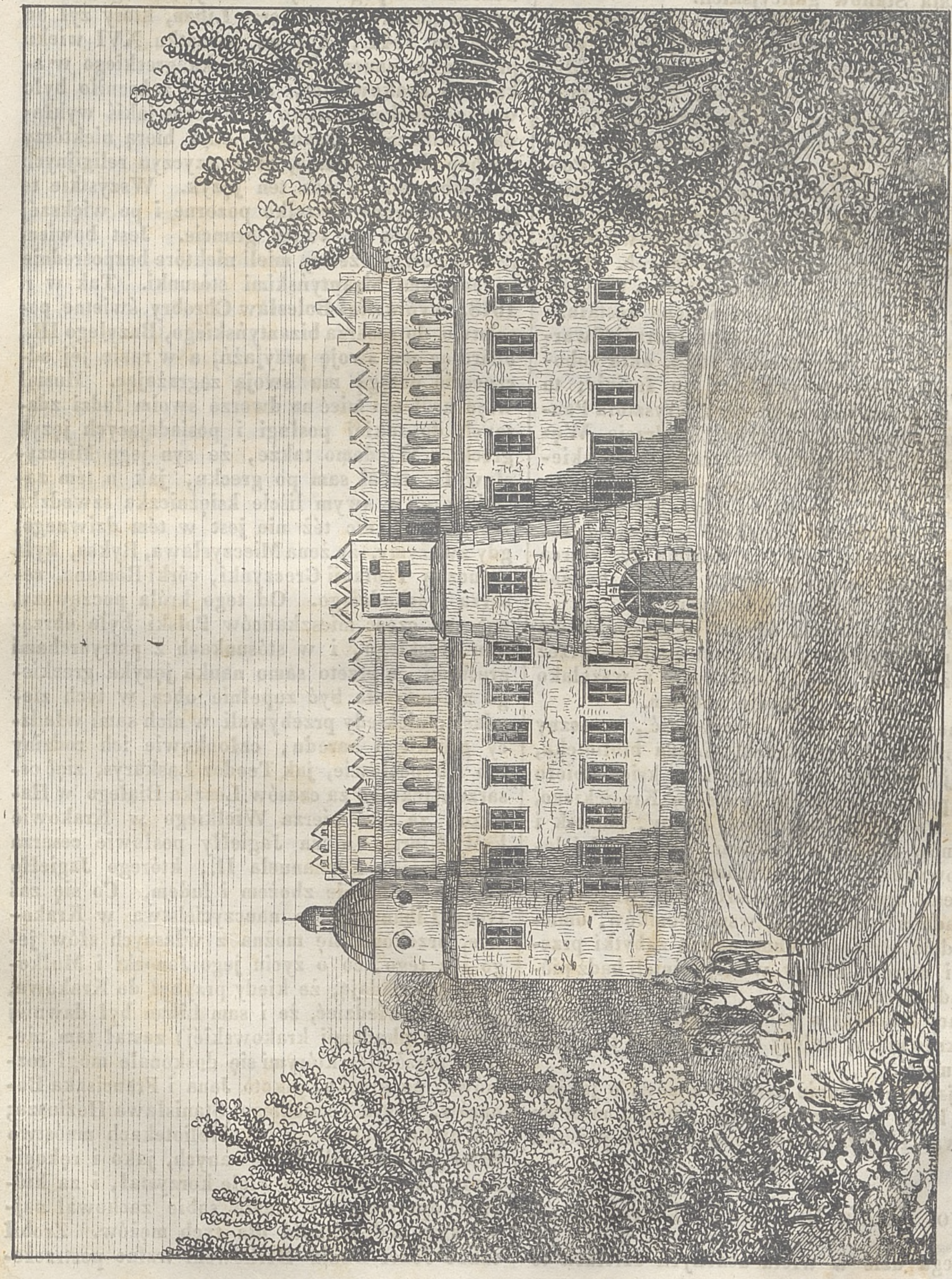

Zamek baranowski w Galicyi.

Opisy niektórych miast w Galicyi.

(Dokończenie.)

3. *Baranów.*

Jeden z starożytnych, dobrze utrzymanych i dotąd zamieszkanych zamków w Galicyi, jest baranowski zamek, w obwodzie tarnowskim nad Wisłą położony, własność hr. Karóla Krasickiego, deputata Stanów galicyjskich.

Już Starowolski wspomina o nim, mieni go być najpiękniejszym w sandomirskiéj ziemi; musiał być także obronnym. Są piśmienne ślady, że Rafał Leszczyński, wojewoda bełzki, pradziad króla Stanisława, w nim przemieszkiwał, późniéj był własnością tegoż Stanisława, żelazną ręką Karola XII. wyniesionego na tron Polski. Leszczyńscy, dawniéj wyznania helweckiego, mieli tu swój kościół, a w ten czas Baranów był miejscem przytułku wielu różnowierców, schronionych do Polski z krajów innych. Była tu także drukarnia, o któréj wspomina Węgierski, że z Pinczowa tutaj przeniesioną została.

Około roku 1625. drukował tu Jędrzéj Twardomęski. Tu wyszły w roku 1628. akta soboru sandomirskiego po polsku i po łacinie; tu drukowano pisma różnowierców: Krysztofa Pandłoskiego, Mateusza Ameryka, Andrzeja Węgierskiego, Bartł. Bytnera, Rafała Leszczyńskiego i innych. Wedle Bandkiego, drukarnią zamknięto roku 1643., po śmierci Jędrzeja Leszczyńskiego. Wspomnienie dziejowe tyczące się Baranowa, przywodzi nam, że tu dnia 24. Marca 1656 roku była stoczona bitwa między hetmanem Sapiehą a Karolem Gustawem.

Zamek baranowski, leżący w 10-milowém oddaleniu od gościńca, mało jest znanym, przez przejeżdżających nie zwiedzanym, a wszelako z wielu względów poznania godzien.

Zachowana w nim starożytność, znaczny zbiór obrazów kosztownych, piękna biblioteka, w któréj znajdują się książki z księgozbioru księcia poetów polskich, Ignacego Krasickiego, którego wiele własnoręcznych listów, notatek i rękopismów ma się znajdować, przez udzielenie takowych PP. Redaktorom pism czasowych i ogłoszenie drukiem, pozyskałby szanowny tychże posiadacz wdzięczność współziomków, umiejących dziś oceniać drobne nawet zabytki przeszłości i mężów, którzy w niéj jaśnieli bądź piórem, bądź orężem.

Ignacy Krasicki z panami Baranowa zbliska był spokrewniony, należy mu się oddać ten hołd jego pamięci.

Miejscowe podanie zamkowe mówi o jakimś smoku, który w piwnicach tego gmachu miał się znajdować, i więźniów tamże osadzonych pożérał.

Żywot Józefa Dunina-Borkowskiego.

(Dokończenie.)

Obiega dziś w wielu uczonych dziełach to twierdzenie, że dawni Polacy kształcili się wyłącznie na wzorach rzymskich z zaniechaniem literatury greckiéj, do któréj albo wcale nic, albo nader mało i to już w czasach późniejszych zaglądali. Ci, co tak utrzymują, wychodzą z tego, że Polska oddalona od Konstantynopola, nie miała bezpośrednich z cesarzami bizantyńskimi stósunków. Wspiera ich nadto ta upowszechniona pogłoska, że znany z mnogich dzieł swoich uczony Polak Jerzy Liban, który żył od 1464 do 1544., był na początku XVI wieku piérwszym nauczycielem języka greckiego w akademii krakowskiéj, a i jemu zabroniło było wyższe duchowieństwo przez czas jakiś wykładać publicznie tę naukę. Ztąd biorą niektórzy pochop do mniemania, że z przyczyn religijnych zaniedbywano u nas ten język. Wszystkie te jednak powody są tylko pozorne i po większéj części mylne w swym gruncie. Jest bowiem rzeczą pewną, żeśmy mieli niektóre bezpośrednie z cesarzami bizantyńskimi stósunki. Tak w r. 1018. wyprawiał Bolesław Chrobry świetne poselstwo do cesarza bizantyńskiego, Bazylego III., ofiarując mu swoję przyjaźń, a w razie jéj odrzucenia potęgą mu swoją zagrażając. Musiał więc król ten mieć na dworze swoim ludzi zdatnych do takiéj posługi i posiadających język grecki. Wiadomo także, że syn jego Mieczysław II. umiał sam po grecku, jak o tém zaświadcza w swym liście księżniczka szwedzka Matylda. I nic téż nie jest w tém dziwnego, gdy zważymy, że żona Mieczysława, Ryksa, była wnuczką Teofanii Greczynki, córki Romana, cesarza wschodniego. Od tego króla począwszy, znaczna część mieszkańców Polski była obrządku greckiego, i w stósunkach z patryarchami greckimi, a przeto samo nauka języka greckiego nie musiała być zupełnie obcą w tych ziemiach; niekiedy przebywali w nich sami władzcy greckiego narodu, członkowie ich rodziny lub ich posłowie, jak Teodor Laskarys, zięć cesarza Aleksego za czasów Leszka Białego w Haliczu, za Kazimierza Wielkiego w Krakowie król Kipru, a za Jagiełły posłowie cesarza wschodniego Emmanuela II., którego Jagiełło zaopatrzał hojnie zbożem i ludem. Co się zaś tyczy Libana i jego nauczycielstwa w Krakowie, przekonać się można z własnych słów jego i z tego, co o życiu jego Janocki i Mułkowski powiadają, że kiedy przybył do Krakowa, (a trzeba wiedzieć, że i sam Liban był dawniéj uczniem akademii krakowskiéj) zastał tam nietylko mężów, z którymi się doskonale mógł rozmówić po grecku, jakoto Jana i Franciszka Bonarów, Piotra Tomickiego, Stanisława Hoziusza; ale nadto znalazł w ich bibliotekach mnóstwo dzieł greckich tak drukowanych, jako i rękopismów, z których sam wiele korzystał, i za których uprzejme udzielanie sobie zachował największą wdzięczność dla tych mężów. Zrobił także Józef Dunin-Borkowski trafne postrzeże-

nie, że Libanowi zabraniano nauczycielstwa w akademii krakowskiéj, nie z przyczyny języka greckiego, bo tylko bardzo ograniczony mnich jaki mógł w tém upatrować niebezpieczeństwo dla religii, ale z powodu kilku mów, które miał w kościele Panny Maryi w Krakowie, jak to sam Liban w przemowie swojéj do Hoziusza wyznaje. Wreszcie przekonał się J. D.-B., że tłumaczenia autorów greckich na język łaciński i różne objaśnienia ich i wykłady, które albo w Polsce, albo przez Polaków dokonane były, należą do najlepszych prac tego rodzaju i poszukiwane były w całéj Europie. Wszystko to wskazuje wyraźnie, że język grecki ani tak późno jak niektórzy mniemają, ani tak powierzchownie w Polsce wykładano, że mu duchowieństwo polskie nie kładło tak wielkich przeszkód; owszem, z powodu samych sporów kościelnych, znajomość jego stawała się coraz potrzebniejsza kapłanom. Te i tym podobne uwagi są dostateczne, aby usunąć, a przynajmniéj bardzo zmodyfikować ów zarzut jednostronnego kształcenia się naszego narodu w czasach dawniejszych. Józef D.-B. chciał udzielić tych swoich postrzeżeń Michałowi Wiszniewskiemu, autorowi historyi literatury polskiéj, (dla którego miał największy szacunek i przez którego w r. 1840. uczonemu towarzystwu krakowskiemu przedstawiony na członka, mianowany nim został) a to w tym celu, aby tenże w tak ważném dziele swojém, które publiczność z zapałem odczytuje, sprostował niektóre mylne w tym przedmiocie twierdzenia.

Długą chorobą i ustawiczném natężaniem umysłu znacznie już był zwątlony na siłach, kiedy w skutek podanéj przez Tadeusza Wasilewskiego myśli, aby wydać Album na korzyść pogorzelców, podjął się powierzonéj mu przez przyjaciół redakcyi téj książki; i w czasie, w którym słabość jego zatrważające robiła postępy, widywano go zajętego przez większą część dnia to przezieraniem i porządkowaniem nadsyłanych artykułów, to ich poprawą. Jedna z pięknych poezyj, umieszczona w téj książce, jest poniekąd natchnieniem ostatnich chwil jego. Staraniem swojém przyprowadził do tego, że już połowa Album odbita była na czysto, a umierając nie przepomniał polecić stojącemu obok bratu, aby się zajął dalszém tego dzieła wydaniem. Umarł dnia 18. Czerwca 1843.

Był charakteru łagodnego, w pożyciu ludzki, w obcowaniu uprzejmy i chętnie udzielający się młodzieży, która się zewsząd około niego gromadziła, a na którą on wpływał korzystnie. Nadewszystko zasługuje na wspomnienie jego uczynność; stojąc w wielorakich związkach z uczonymi, podejmował się ochoczo usług połączonych nierzadko z przykrościami, i takowe dopełniał sumiennie. Ta sama uczynność była powodem, że mając wiadomości w lekarnictwie (ile że dla własnego zdrowia nieraz nad niém zastanawiać się musiał) podejmował się dawać rady zachowania się chorym, opuszczonym od lekarzy i zrozpaczanym osobom, a samo rozbudzenie siły moralnéj sprawiało im znaczną w cierpieniach ulgę, a niekiedy zupełne wyzdrowienie.

Są kwiaty, które niezbyt rychło się rozwinąwszy, rosną i kwitną przez cały ciąg przeznaczonéj im pory; są inne, które wschodzą raniéj, świetniéj przez chwilę rozkwitają, ale też nikną zawcześniéj. Życiu tych ostatnich podobien był żywot Józefa Dunina-Borkowskiego. Jego kształcenie przypada w epokę dzieciństwa, w lata młodzieńcze rozwinięcie się wszystkich zdolności, a ledwie stawał na progu wieku męskiego, skończył swój zawód. W dwóch różnych swego życia okresach znajdował się u celu jednego, zdążając doń różnemi drogami: raz, kiedy zawód piśmienny poczynając od poznania narodowego piśmiennictwa wychodził; drugi raz, kiedy z plonami literatury obcéj wracał do wzbogacenia ojczystéj. W jednym i drugim okresie znajdowali wzór dla siebie jego spółtowarzysze, a chwila, w któréj się z nimi rozłączył, utrwaliła go w ich pamięci hożym młodzianem, podobnym jednemu z owych geniuszów, których z lotną stopą, promieniącém obliczem i roznieconą w ręku pochodnią, wystawiała ulubiona mu Grecya.

Pisałem w Remizowcach 25. Września 1843.

August Bielowski.

La bella Lusa.

Powieść szwajcarska.

Wstęp.

Przybywszy w jesieni 1833 r. do Augsburga, zaledwie stanąłem w gospodzie, aby zamocować i wytchnąć po trudach podróży, gdy gościnny wchodzi do mego pokoju i pyta, dokądbym daléj chciał jechać? Do Szwajcaryi odpowiedziałem, nieco zdziwiony jego ciekawością. „Kiedy tak,“ rzecze, „to pan będziesz miał miłego towarzysza. Jest tu młody Szwajcar, który lat kilka przepędził w Węgrzech, a teraz do ojczyzny powraca.“ To rzekłszy wyszedł.

Po chwili wrócił z owym młodzieńcem. Są osoby tak ujmujące, że nie potrzebujem długiego czasu, aby im zaufać i spokrewnić się z ich duszą. Nic zaś łatwiejszego nad związki młodzieży, bo młodość lgnie do młodości i mimowolnie szuka bratniego uścisku. Ztąd zapoznanie nasze było prędkie. Winszowaliśmy sobie tego spotkania, które nam miało osłodzić tęskną podróży, a późniéj stało się ogniwem długiéj przyjaźni, któréj wspomnienie dziś wabi mię ku przeszłości i rozrzewnia.

Wieczór upłynął na rozmowie. Tu miałem sposobność poznać dowcip, szlachetność i na-

miętne uczucia w moim towarzyszu. Potém udaliśmy się na spoczynek, a rano, ze wschodem słońca, ruszyliśmy w drogę. Ponieważ zmierzałem ku Genewie, a on za Fryburg, więceśmy dopiero w miasteczku Bulle rozłączać się mieli. Ale z jakże odmienném uczuciem postępowaliśmy naprzód! Mnie każdy krok od ojczyzny oddalał, jego każda chwila ku domowi zbliżała. Gdyśmy stanęli na granicy szwajcarskiéj, on w zachwyceniu radości zagrzmił pieśń góralską, któréj odpowiedziało kilku rybaków na brzegach jeziora, a którą powtórzyły okoliczne echa. Szwajcarya, ta cudna kraina, pełna jest czarodziejskich głosów. Zewsząd brzmią góry i skały, niby duchy dawnych Helwetów wtórujące żywemu pokoleniu. Mój towarzysz odtąd był mi przewodnikiem. Wszystkie osobliwości i zwyczaje, wszystkie pamiątki do miejsc przyrosłe, rozwijał i tłumaczył. Myśl jego nieraz cofnęła się w dalekie wieki, a wtedy ze szlachetném uczuciem dumy rozpowiadał mi rycerskie dzieła i sławę swych przodków. Ja słuchałem pilnie, bo któż słuchać nie lubi, gdy o sławie przodków jest mowa? W wielkiéj ludów mogile, upatrujem zawsze część chwały własnego narodu.

Zbliżyliśmy się nieznacznie do Bulle, kresu naszéj podróży. Dla chwili przykrego rozłączenia chciałem natychmiast odjechać, lecz on zaczął prosić i nalegać, ażebym jego domu nie mijał. Ja zezwoliłem chętnie, a że jeszcze było kawał do wieczora, więc ruszyliśmy do Broc, wioski na prawym brzegu Sariny leżącéj, gdzie jego matka mieszkała. W pół godziny wysiedliśmy przed domem drewnianym, jakich pełno w tym kraju. Sądziłem, że po kilku leciech niewidzenia, powitanie będzie bardzo rzewne; ale jakżem się zdziwił, gdy mój towarzysz zawołał tylko: jak się macie matko? jak się macie bracia i siostry? i wszystko się skończyło na uściśnieniu ręki. On, widząc ztąd zadziwienie moje, rzekł: „U nas, biednych Góralów, uczucia nie zależą na powierzchownych oznakach. Kochamy się szczerze, lecz miłość więcéj spoczywa w sercu, niż na ustach. Jeśli nie wierzysz, mój głos drżący powinienby cię przekonać, a z resztą przypatrz się méj matce i rodzeństwu!“ Spojrzałem. Oczy wszystkich były zalane łzami, drgającemi na rzęsach tysiączne zapytania i odpowiedzi. Mnie także przyjęto uprzejmie, w domu bowiem poczciwości i prostoty gościnność jest cnotą zwyczajną.

Gdy siostry mego przyjaciela zaczęły się krzątać około wieczerzy, my wyszliśmy na ganek, zkąd obszerny rozlegał się widok. Słońce schodziło za poziom, złocąc ostatkiem promieni szczyty gór i wypukłości pięknego krajobrazu. Cień błękitnawy i lekka mgła, rozpostarły swój urok na zielonych i szumiących wodami dolinach. Jakież pióro opisać zdoła te rajskie wdzięki alpejskiéj natury, gdzie zdumiony wędrowiec zapomina, że jest synem ziemi? Staliśmy długo w milczeniu. Mnie zachwycał ów widok niezwykły, jemu zapewne wspomnienia lat dziecinnych mówić nie dozwoliły. Nareszcie, postrzegłszy od strony południa poważne mury sędziwego grodu, jakiż to zamek? spytałem. „Jest to,“ rzekł, „dawne siedlisko potężnéj niegdyś Grujerów rodziny, która tym krajem władała. Wiele tam wylęgło się powieści, dotąd między ludem krążących. Jutro, jeśli zechcesz, odwiedzimy to miejsce; jest bowiem pełne pamiątek i widzenia godne.“ Przystałem ochoczo na takie wezwanie.

Nie potrzebuję powiadać, że noc prześniłem przyjemnie. Wszystkie dzienne obrazy, w duszy odbite, malowały się w rozlicznych a nadobnych snu widziadłach. Nazajutrz, o miłym chłodzie poranka, pobiegliśmy do zamku. Godzina nie wyszła, gdy dostawszy się na górę, już stukaliśmy do bramy. Wpuścił nas odźwierny i ku gmachom prowadził. Wszystko tam nosi piętno feudalnych czasów, kiedy wygoda ustępowała silnéj obronie. Minąwszy kilka pokojów, wprowadzono mnie do ciemnéj izby, gdzie żadnych sprzętów nie było. Jedno tylko okienko, w murze na dwanaście stóp grubym, dozwala tam wnikać słabemu światłu. Nie widząc nic osobliwego w téj izbie, zapytałem, na coby dawniéj służyła? Odźwierny miał już gotową odpowiedź: „Była tu niegdyś kaplica, gdzie piękna Łusia . . .“ lecz mój przyjaciel przerwał mu mowę, biorąc na siebie dalsze jéj prowadzenie. Więc oparci na murze, natężyliśmy uwagę. On powieść o pięknéj Łusi tak zaczął:

I. *Igrzyska.*

Według dawnego Druidów zwyczaju, obchodzono corocznie, na różnych miejscach Szwajcaryi, pasterskie święta. Taniec rozpoczynał i kończył zabawę, przyczém rozmaite nadewszystko interesa, aby utrzymać lub obudzić związki przyjaźni między krajowcami, były główną tych świąt podnietą. Zawsze jakąś powabną dolinę lub wierzchołek góry zielenistéj, wyznaczano na miejsce zebrania. Lud zbiegał się tam tłumnie, jakoby jednym dniem chciał sobie wynagrodzić całoroczne znoje.

Podobna uroczystość miała się odbyć w roku 1546. na wierzchu Saxiemy, która pławi swe stopy w skromném jeziorze Arnon. Ów dzień uroczysty przypadał zwykle w piérwszą niedzielę lipcową. Tak i teraz być miało. Hrabia Michał, ostatni z rodziny Grujerów, kazał to głosić po całém hrabstwie. Radość ztąd była powszechna i wielkie wszystkich oczekiwanie.

Gdy dzień oznaczony zaświtał, zewsząd pasterze i pasterki tłoczyli się na górę. Jak różne były okolice zkąd przybywali, tak różne i stroje. Tu Góral w czerwonéj sukmance z odętemi rękawy, tam piękne czarno-okie dziewice

z zawojem gęstych warkoczów na głowie, daléj wieśniaczki w słomianych kapeluszach, ozdobne w kwiaty i koronki. Cóż mówić na zaletę ich charakteru? Byli to pasterze i Górale! Ich twarze wesołe, jak natura, na którą patrzą. Ich serca czyste, jak śniegi i lodowiska, po których deptają. Z oczu przemawia spokojność duszy, na czołach jaśnieje jakaś nie zwykła powaga. Obce im są zabiegi skrzętnych miast mieszkańców, ani znają co ludzkie wielkości (1). Góral stanąwszy na podniebnym cyplu, sądzi, że całemu panuje światu, gdy z chmury pod jego stopami ciągnącéj zgubny piorun wylata. Pasterz krocząc za swoją trzodą, wśród szumu strumieni i wodospadów, nuci samotną piosenkę, szczęśliwy, że w braku słuchaczy przynajmniéj słońce mu się uśmiecha.

Już grzbiet Saxiemy liczna gromada obsiadła: niby mrowisko ruchome lub pszczoły rozrojone. Widząc atoli niesforność owego roju, rzekłbyś, iż mu jeszcze królowéj brakuje. Będzie i królowa, gdyż dawny zwyczaj obierać ją każe. Najpiękniejsza i najlepsza z dziewcząt tę godność otrzyma. Teraz, lubo słońce zaczęło już spędzać poranne tumany, ów tłum gwarzący czekał jeszcze na czyjeś przybycie. Wtém nagle oczy wszystkich zwróciły się na podnoże góry. Jakiś sędziwy starzec, wsparty na ramieniu pięknéj dziewicy, postępował poważnie. Wzrok niecierpliwy widzów zdawał się naglić jego kroki, a gdy stanął na górze, witano go ręką i sercem. Brzmiało powietrze okrzykiem radości: „Ojcze Anzelmie, witamy! witamy!“

Był to poczciwy a pracowity gospodarz z Chateau d'Oex ze swoją jedynaczką, którą powszechnie *la bella Lusa* zwano. Postać wysmukła i rzadka uroda, były tylko powłoką zacniejszych przymiotów jéj duszy. Ona żebrakowi była opiekuńczym aniołem, a każdy radby ją mianować siostrą. Matki patrzały nań tkliwie, bo ona była matką ich dzieciom. Młodzież ginęła w jéj ciemném oku, w czarnych zaś warkoczach nie jeden zaplątał swą wolność. Dopiero rok szesnasty liczyła. Chowana pod okiem cnotliwego rodzica, wzrosła i rozkwitła jak owe kwiaty gór niedostępnych, pełne wdzięku i woni, których żaden pył ziemski nie brudzi. Szesnastoletnie serce dziewicy nie znało dotąd co miłość. Ale biada jéj, jeżli kiedy pokocha bez nadziei! Wrodzona litość i tkliwość staną się źródłem jéj cierpień i zarzucą wieczne kajdany na rozmiłowaną duszę. Czas to pokaże.

Przystąpiono do obioru królowéj. Komuż tę godność oddadzą? Zaiste, Łusia króluje nad sercami wszystkich, więc ona będzie królową i dzisiejszéj zabawy. Ona wręczy nagrodę i włoży wieniec na skronie szczęśliwego igrzysk zwycięzcy.

(1) Jeden z wieśniaków szwajcarskich raz się odezwał, że gdyby był królem, pasałby swe krowy na koniu. Inny się pytał dobrodusznie, czyli psy króla francuzkiego chodzą pieszo na polowanie.

Trzykroć rogi alpejskie zagrzmiały. Jest to hasło rozpoczęcia uroczystości. Młodzież ochocza poskoczyła do tańca. Łusia stanąwszy na czele, prowadzi mnogie pary, jedne po drugich ciągnące. Dźwięk wiejskiéj muzyki podrywa im nogi. Zformował się łańcuch ogromny, którego żyjące ogniwa łamią się i wiją w kształty rozliczne. Bieg krętego strumienia, a lepiéj jeszcze ruch węża, oddaje podobieństwo tych pląsów. Gdy środek ciała zataczał sprężyste kręgi, głowa stykała się z ogonem lub pełzła w przeciwnym kierunku (2). Tak pląsali, dopóki znużenie i powtórny odgłos alpejskich rogów nie kazał przestać, zwiastując, że czas rozpocząć inne igrzyska.

Teraz pasterze, jak niegdyś Grecy na polach olimpijskich, doświadczą sił swoich, w rzucaniu głazów i w walce zapasów. Starcy z Łusią zasiedli na wyższém miejscu; poniżéj tłum ciekawych stanął dokoła. Grono walczących zajęło sam środek.

Naprzód wytknięto metę, a dla zrobienia wyboru między współzawodnikami, kazano im dźwigać kamień ogromny, któryby dał miarę ich mocy. Najsilniejsi uzyskali pierwszeństwo. Potém objąwszy głaz czterdziesto-funtowy, miotali nim na odległość. Każdy rzut przeważniejszy obudzał zdziwienie i pochwały patrzących. Nikt atoli nie dotknął jeszcze wskazanéj mety. Rosło troskliwe oczekiwanie widzów, gdy Wacław Meichtry porwał za kamień, rzucił i dosięgnął nareszcie oznaczonego kresu. Tu dopiero powstał okrzyk długo w piersiach tłumiony. Chwalono i ściskano dzielnego pasterza. On, starłszy pot z czoła, zwrócił ku Łusi swe ogniste spojrzenie. Więc Wacław nagrodę zwycięską otrzyma? — Nie. Temu tylko ten zaszczyt przyznany, kto w obu igrzyskach zwycięży.

Nastąpiła chwila spoczynku, po któréj rozpoczęto zapasy. Stanęli pasterze w dwóch rzędach, stósownie do wieku lub odpowiedniéj siły. Słabszych wyprawiono naprzód. Ci długo ścierali się z sobą, nikomu jednak nie udało się, trzykroć na grzbiet powalić przeciwnika, co jest koniecznym warunkiem wygranéj. Gdy koléj przyszła na Wacława, zmarszczył brwi, gdyż mu stawiono człowieka przebiegłego w tym rodzaju ćwiczeń. Był to Góral lat trzydzieści liczący, niski wprawdzie i niezgrabny na pozór, lecz członki nasiadłe, a chód lekki, zdradzały w nim wielką siłę muszkułów i niepospolitą zwinność. Dwaj zapaśnicy oblekli odzienie ze zgrzebłego płótna, podali sobie ręce na znak przyjaźni, a klęknąwszy na jedném kolanie pochwycili się za biodra. Wtedy głowę przeciw głowie, ramię przeciw ramieniu spierając, zaczęli zwodzić uporczywe harce. Jeden drugiego usiłował podchwycić, przegiąć lub poderwać;

(2) Jestto taniec narodowy, *la grande coquille* zwany.

lecz podchwycony zwijał się szybko i ponawiał swą napaść. Walczyli zajadle i długo jeszcze chwiała się wygrana. Nareszcie Wacław, biegły w użyciu ostatniego wysilenia, tak mocno przyparł zmęczonego przeciwnika, że ten upadł na plecy i po trzeci raz dotknął się ziemi.

Powstały zewsząd huczne oklaski. Zgiełk i wrzawa rozlegają się szeroko. Zapewne uradowanego zwycięzcę okrzykną królem biesiady? Tak być miało, lecz rzeczy inny obrót wzięły. Właśnie gdy Wacław szedł odebrać z rąk Łusi pas haftowany i wieniec, ktoś zawołał: „Stój, mnie pierwéj musisz pokonać!“ Spojrzeli wszyscy z zadumieniem. Wtém jakiś urodziwy a szlachetnéj postaci młodzieniec wystąpił na środek placu. Uważano, że dotychczas siedział pod świerkiem, u nóg zaś jego leżała rzadkiéj piękności charcica. W czasie walki zdawał się więcéj patrzeć na Łusię, niż na igrzyska. Nikt go nie znał, a przecie mówił językiem gminu i był ubrany jak inni pasterze. Ciekawość ogarnęła umysły wszystkich: Ktoby on był? pytano się nawzajem. Niektórzy mniemali, że rysy jego twarzy, oko niebieskie i jasne włosy kiedyś widzieli; ale gdzie i kiedy, tego żaden wykazać nie umiał. On, nie dbając na ciekawe spojrzenia gromady, wytężył silne ramie i w milczeniu przystąpił do Wacława. Utarczka nie długo trwała. Wacław powalony runął na murawę; młodzieniec nie znany, podniósł go z uśmiechem. Rzucenie kamienia było jeszcze dziwniejsze; nigdy ręka ludzka nie cisnęła tak daleko wielkiego głazu na szczycie Saxiemy. Brzmią znowu usta i dłonie życzliwe. Ów tylko młodzieniec nie podziela radośnego zapału. Skłonił ku piersiom głowę, niby się wstydząc powodzenia swojego. Spłonął nawet widocznie, gdy ku pięknéj Łusi postąpił. Spłonęła żywym rumieńcem i pomieszana dziewica; jéj ręka drżała przy wkładaniu wieńca na skronie pasterza. Pas haftowany dostanie Wacław, gdyż taka jest wola zwycięzcy. On raz jeszcze pogrążył wzrok namiętny w ciemném oku dziewicy, uścisnął jéj bezwładną rękę, a szepnąwszy z cicha: „Łucyo do zobaczenia!“ zniknął wśród zdziwionego motłochu.

Trwał rozruch i zamieszanie, a południe już dawno minęło. Czas wielki, aby zacząć biesiadę. Garną się wszyscy pod namioty, gdzie przyrządzone stoły na gości tylko czekają. Zastawiono różne mięsiwa i soczyste jarzyny. Obok leży chléb razowy, obszerne kręgi sérów i kilka sądków z winem. Poniżéj nakryto płachtami murawę dla tych, coby się w namiotach nie pomieścili. Nie widać tam srebra. Kilka półmisków cynowych, gliniane misy i drewniane talerze, stanowią cały przepych zastawy. Zasiedli biesiadnicy na ławach według wieku i znaczenia. Łusia i Wacław, prawem swego dostojeństwa, zajęli miejsca przedniejsze. Spełniono naprzód królewskie zdrowie, poczém różne krążyły wiwaty. Jedli i pili, gwarząc bez przerwy. Przygody dzienne lub dawne czasy, były przedmiotem rozmowy. Niekiedy żart rubaszny wzniecał śmiechy nieumiarkowane w biesiadniczém kole. Wesołość i ochota wciąż rosły.

Po skończonéj uczcie, udano się na dolinę, żeby oglądać próby zręczności strzelców i łuczników. W ojczyznie Wilhelma Tella łuk trafiać umie, a strzelba rzadko zawodzi. Było tam więc wiele dalekich i nadzwyczajnych strzałów. Napatrzywszy się do woli, wszystka gromada wróciła na Saxiemę. Łusia z ojcem odeszła.

Słońce ścieląc barwę różaną na górne śniegi i lodowiska, oblało blaskiem szkarłatu zachodnią okolicę nieba. Wieczór się zbliża. Czują to wszyscy, że nim słońce zajdzie, potrzeba będzie uroczystość zakończyć. Więc raźno i tłumnie pospieszyli do tańca. Gra znowu wiejska kapela, któréj wtórują głuchawe surmy. Znowu łańcuch ruchomy płynie, jak płyną fale za wiatru powiewem. Powoli jednak nieład i zamieszanie się wkradało. Każdy tupał i hasał nie pilnując porządku. Odgłos pieśni i okrzyków zapełnił drgające powietrze. Jęczą wciąż echa, jak gdyby pierś tańcerzów przełamać chciała twardych skał zapory. Lecz mrok na dolinach już zapada. Mglisty cień ogarnął poziome niziny, gdzie niegdzie tylko widać jeszcze świecące Alpów szczyty. I te błyszczą nie długo, bledną stopniowo i zachodzą pomrokiem. Na wierzchu Saxiemy gwar także ustawać zaczyna. Zmniejsza się taneczne grono, jedni po drugich odchodzą, muzyka mdleje, nareszcie wszystko ucichło. Noc i milczenie osiadły na zielonych kobiercach Saxiemy.

II. *Ona.*

Biedna Łusia! o jakże zmieniona i niepodobna sobie! Niegdyś była wesoła i hoża, jak fala potoku pląsająca po stoczystych głazikach. Niegdyś była szczęśliwa, gdy mogła śpiewać na brzegach strumieni lub krzepić uśmiechem starego rodzica. Wtedy to pokój, swoboda i anielskie rozkosze gościły w jéj czystém sercu. Dzień mijał bez chmury, w nocach sny słodkie się roiły. Teraz chodzi zadumana i tęskném okiem w otchłań przyszłości spogląda. Teraz, jakby jéj dusza zastygła, patrzy i słucha bezprzytomnie. Ona wciąż marzy, a marząc rumieni się lub blednie. W jéj myślach panuje nieład, a przecież zawsze jedno i jedno!

Biedna Łusia! Jéj się zdawało, że zrodzona dla szczęścia, aż ją nagle troski opadły. Z dziewiczych marzeń dojrzały tylko łzy i westchnienia. Odtąd dni tęskne leniwo się wleką. Niekiedy promyk nadziei zabłyśnie, wnet atoli znika i grubszy roztacza pomrok. Gdy noc nadejdzie, ona zbiera wszystkie wspomnienia, pieści się z niemi i kołuje w nich ciągle. Jestto raj błogi, gdzie zawsze widzi Saxiemę i jasnowło-

sego pasterza. Często te miłe obrazy ulżą tęsknocie, częściéj jednakże zasmucą. Gdzie serce gwałtownie bije, tam nie zmrużyć powieki. Dla tego bezsenność przymgliła jéj oczy i ślad cierpień wyryła na skroni. W czasie letniéj posuchy, rosa rzeźwi kwiaty omdlałe: jéj dusza wygląda rosy i doczekać się nie może. Dawniéj na lekkich skrzydłach wzlatywała ku niebu; dziś jakiś ciężar ogromny przytłacza ją do ziemi.

Ona unika towarzyszek swoich. Wszystkie igraszki niewinne, a niegdyś tak lubione, nie mogą jéj znęcić. Nawet Bianka, jéj śnieżna koza, poszła w zaniedbanie. Napróżno zwraca ku pani swe litośne oko i dawnych pieszczót przyzywa. Już nie dostaje zwykłéj garści soli. Łusia obumarła dla całéj doliny. Ani już pobieży na góry dla zbierania kwiatów, ani pod sąsiednim platanem zaśpiewa, ani zatańczy pod samotną skałą.

W domu wszystko się także zmieniło. Radość i wesele przeniosły się gdzieindziéj. Miłe są wieczory przy kominku, a tu ognisko od wszystkich opuszczone. Ucichły rozmowy, zaniemiał dom cały. Czasami tylko iskry trzeszczące przerwą ciszę głęboką.

Stary Anzelm potrząsa głową i płacze w skrytości. Miałżeby tego dożyć, żeby mu zgryzota wtrąciła do grobu jedyną pociechę na świecie? Wszystko dlań przybrało postać ponurą, odkąd jego córka zamilkła. On kocha ją tkliwie i radby odgadnąć przyczynę smutku. Płącze się w domysłach, lecz nadaremnie. Kilka razy chciał badać surowo, przecież bojąc się zwiększać nieufnością udręczeń córki, wolał dać pokój. A z resztą, czyliżby ona sama wypowiedzieć mogła, co się z nią działo? Jakiémże imieniem nazwie to wrzące uczucie, które tak potężnie ogarnęło jéj piersi?... Ach była to miłość namiętna, ze swoją męczarnią i roskoszą; miłość prawdziwa, gotowa oddać krew własną i życie dla kochanéj osoby; miłość czujna, wytrwała i niezmierna: gdyż jéj ani sen uśpić, ani czas osłabić, ani próg wieczności wstrzymać nie zdołał!

W samotnéj dolinie Mothelon, kędy dwie góry sparte bokami zaledwie wąski strumień przepuszczają, jest lasek z platanów i cieniste zacisze. Jedna tylko ścieszka, w trawie się snująca, obok tego miejsca prowadzi. Tam Łusia z kądzielą śpieszyła każdego poranka. Widok czerstwéj natury, świéżość powietrza i śpiew ptasząt, pokrzepiały niekiedy tę cierpiącą istotę. Pień stary, mchem zarosły, był teraz tronem królowéj pasterzów. Tam zwykle siadywała, tam przędła i marzyła. Każdy z przechodniów pozdrawiał ją uprzejmie, boć wszyscy ją znali: lecz ona zdaje się niepoznawać nikogo, lub tylko lekkiém skinieniem głowy zawdzięcza pozdrowienie. Najczęściéj siedzi i milczy, podobna do martwego posągu. Jeśli żywsze uczucie wyrwie ją z otrętwienia, wtedy puszcza wrzeciono, pieści swą biankę, i zalewa się łzami. Jéj oko błądząc w przestrzeni, jednego tylko szuka przedmiotu. Ten atoli się nie zjawia! Ach! czemuż, mówiła sobie z goryczą, czemuż nie przybywa mój pasterz jasnowłosy? Albož nie powiedział: do zobaczenia! Me serce biło przy tych błogich słowach; czułam wyraźnie, że mu ręka drżała w mojéj drżącéj dłoni. Do zobaczenia! do zobaczenia! a jednak nie wraca!

III. *On.*

Mijały dni, miesiące, lecz żadna nie zaszła zmiana. Serce bije i czeka, jak dawniéj biło i czekało; nadzieja wciąż obiecuje i wciąż zawodzi. Zwątpienie, ów zjadliwy robak, zaczyna wkradać się do łona i powoli kwiat złudzeń rozgryza.

Nadeszła jesień. Wszystko zdaje się powracać, zkąd wyszło. Żółknące drzew liście spieszy ku ziemi, a zeschłe roślin łodygi wyciągają ku niebu sieroce ramiona. Jakiś urok posępny napiętnował całą naturę. Miło jest dumać, patrząc na podobne widoki. Kogo zawiodły nadzieje, komu uczucia poschły lub powiędły, niech szuka ulgi w obrazach jesieni. Ona, tracąc swe ozdoby, łagodzi wspomnienie strat bolesnych człowieka. Ona, w nowych pączków zawiązkach, pokaże mu za twardemi zimy lodami wiosnę i rozkwitłą znowu nadzieję.

Nadeszła więc jesień. Coraz chłodniejsze poranki i Łusia coraz rzadziéj swój lasek odwiedza. Pewnego dnia atoli, gdy słońce w południowéj godzinie dogrzewać zaczęło, pobiegła z Bianką na swój pień umszony. Żywy strumień światła rozlewał się po całéj okolicy. Zbudzone owady igrały brzęcząc w powietrzu. Ruch i wesołość lata powracać się zdawały, jak gdyby natura podniosła jeszcze hymn uroczysty, nim zaśnie snem otrętwienia. Pomału jednak blask słabiał, powietrze gęsło i ciemne chmur pręgi zachodziły na niebo. Pod wieczór w miejsce wesołych gwarów, wiatr zaszumiał. Wzburzone żywioły sposobią się do walki. Łusia powstawszy, patrzy i słucha. Jakaś trwoga, a raczéj silne przeczucie, zapiera oddech w jéj piersiach. Cóż znaczy ta odległa wrzawa? Słychać skowyczenie ogarów i odgłos trąbki myśliwskiéj. Bliski szelest w gęstwinie nabawił ją okrutnéj bojaźni. Ogląda się ze drżeniem i postrzega zbłąkaną charcicę, która przybiegłszy skomli pod jéj nogami. Zdumiałe oko dziewicy, błyszczy łzą radości. Była to owa charcica, którą pasterz nieznajomy miał z sobą na Saxiemie. Ale zkądże ona przybywa? czemu bez niego? a nadewszystko, co ma znaczyć ta obróż bogata na szyi lubego zwierzęcia? Radaby to wiedzieć, lecz trwoga zgadywać nie dała. Więc zrywa się nagle i ucieka do chatki. Bianka z charcicą, jakkolwiek nieufne sobie i w pewnéj odległości spieszące, pobiegły za śladem uciekającéj.

Tymczasem burza chuczała w głębi doliny. Deszcz kroplisty, acz rzadki, śmigał po górach i padołach. Błyskawice rozdzierały czarne tło świerków, modrzewiów. Wicher wtórował swoim poświstem, a nad wszystkiem toczył się grzmot głuchy i poważny. Wspaniałą jest zaiste burza w górach alpejskich, ale kto wysłowi jéj dziwy? Gdyby natura konać mogła, nazwałbym to konwulsyjném konaniem natury. Tam wszystko grozi sobie wzajemną zagładą. Ziemia drzy w swoich posadach, gniewne niebo spycha ku ziemi swe powietrzne zastępy, a woda rozhukana podrzuca z urąganiem kipiące jezior bałwany. Echo piorunów rozpryska się na setne gromy, huk zaś każdego gromu jest wielki. Żądła błyskawic sieką ciemność ponurą, ta znowu błyskawice pożéra. Wicher szarpie lasy, chwyta fale dzikiemi ramiony: lecz lasy uparte jęczą, a złamać się nie dadzą, giętka zaś fala podskoczywszy, wymyka się wściekłemu wichrowi. Tak walczą i walczą, dopóki zmordowane nie padną i nie skonają. Wtedy dopiero zlękły pasterz wychodzi z swéj kryjówki i nawołuje rozpierzchłe trzody.

Jakiż to ruch przed chatą Anzelma? Goście przyjechali! Widać dzielne rumaki, widać zgraję chartów i ogarów. W progu chatki uwija się tłum ludzi różnego wieku i stanu, a wszyscy po łowiecku ubrani. Zwierzynę ubitą rozpostarto na ziemi. Łusia zdziwiona przeciska się z trudnością, wbiega do izby i poznaje... zapewne onego pasterza? O nie! widzi urodziwego myśliwca, który ją pozdrawia z uśmiechem. Był to jednak tenże sam młodzieniec, co na Saxiemie był wyrzekł: „Do zobaczenia!"

Nagły rumieniec pokrył jagody struchlałéj dziewicy. Stoi nieporuszona i milczy. Ileż to pieszczót stwarzała myśląc o nieobecnym; teraz w jego obliczu słówka wymówić nie umie. Wstyd zabrania podnieść oczu, a miłość serce ku niemu porywa. Stoi i milczy, ani wie co począć. On wziął ją za rękę i odezwał się tkliwie: „Łucyo, dotrzymałem ci słowa! Bóg mi świadkiem, żem myślał o tobie! Gdyby nie zawistne..." chciał coś daléj mówić, lecz tylko westchnął i zamilkł. Żaden śpiew rajski nie zachwyciłby jéj tyle, jak owe „myślałem o tobie!" Więc podnosi zwilżone oczy; uśmiech okrasił usta, radość rozpromieniała na czole. Krząta się żwawo, radaby uczcić i uczęstować zacnego gościa. Co tylko dom posiadał najlepszego, dobywa i rozkłada, prosząc, aby nie gardził. Tak szczęście i wesołość zawitały znowu do skromnéj chatki. Stary Anzelm nie pojmuje téj zmiany, aleć i on szczęśliwy, że jego dziecko kochane ożyło przecie dla radości.

Któż był ów piękny myśliwiec? Zaprawdę musiał być jakąś znakomitą osobą, bo wszyscy dlań wielkie poszanowanie mieli. Musiał oraz być dobrym, gdyż wszyscy go miłowali. On, kazawszy odejść swym ludziom, sam pozostał z Łusią i Anzelmem. Coś długo mówili, ale zawsze z cicha. Potém dobył jakieś papiery i podał starcowi. Podsłuchano jak Anzelm zawołał: „Panie, ja przyjąć nie mogę! Cóżby rzekli moi ziomkowie, gdybym na moje stare lata popadł w podejrzenie? Za młodu służyłem wojskowo, nie chcę, aby mój honor szwankował, tym bardziéj, żem bliski już grobu!"

Tu zasłyszano płacz niewieści, a myśliwiec rzekł dobitniejszym głosem: „Jeśli nie chcesz przyjąć dla siebie, to przyjm dla córki. Ubodzy jesteście, ona może zostać sierotą, i świat ją odepchnie. To, co daję, ma być nagrodą jéj cnoty, nie zapłatą płochości!" Potém drzwi się otwarły, gość pożegnał gospodarzy i odjechał. Anzelm potrząsa głową, jego córka patrzy za odjeżdżającym.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienie, tyczące się drugiego wydania Książki do Nabożeństwa dla wszystkich Katolików, z polecenia Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Dunina ułożonéj.

Po wyjściu téj powszechnie szacowanéj książki, odebrałem tak wiele wezwań, abym jeszcze na czas niejaki zostawił ceny prenumeracyjne, przez coby także i ubożsi członkowie gmin mieć mogli sposobność taniego téjże książki nabycia; że przychylając się do takowych, umyśliłem przedłużyć ceny te, któremi właściwie tylko papier się opłaci, **do końca Czerwca r. b.**, to jest: 2 złp., czyli 10 sgr., za eksemplarz na zwyczajnym, a 3 złp., czyli 15 sgr., za eksemplarz na welinowym papierze. Od 1. zaś Lipca r. b. kosztować będzie eksemplarz na zwyczajnym papierze 3 złp., czyli 15 sgr., a na welinowym 4 złp. 15 gr., czyli 22 sgr. 6 fen. Są także do nabycia należące do téjże książki trzy obrazki, wraz z pięknym i dobrze trafionym wizerunkiem ś.p. zmarłego Arcypasterza M. Dunina, za 1 złp., czyli 5 sgr.

Upraszam zatém Przewielebnych JJ. XX. Dziekanów i Proboszczów o łaskawe zawiadomienie o tém swych gmin i zwrócenie zarazem ich uwagi na to, że później za tak niskie ceny książki téj nie będzie można dostać.

Leszno, w końcu Kwietnia 1844.

Ernest Günther, księgarz.